

Między śmiercią i narodzinami. Biografia

dla J. L. (który umarł) i dla W. O. (który się narodził)

Nie mamy niczego bardziej własnego niż nasza biografia. Nawet ciało, w którym spędzamy całe życie od narodzin (od poczęcia?) aż po śmierć, nawet to najbliższe nam, nasze własne ciało, które zakorzenia nas w istnieniu (i jego przyjemnościach), choć zarazem każdego dnia nas zdradza, niepostrzeżenie osuwając się coraz bardziej w starość, w brzydotę i zniedołężnienie – jest tylko pożyczką z wyraźnie określonym, lecz zwykle ukrytym terminem zwrotu. Ciało – niedoskonałe narzędzie życia, wehikuł, którym to coś nieokreślonego, kim (czym?) jest człowiek, przemieszcza się w czasie. Jego światowe p r z y g o d y składają się na serię życiowych zdarzeń, a one na biografię. I dopiero biografia – rozumiana tu etymologicznie jako zapis czyjegoś życia – wyzwala (się) z tej przeklętej gry w przemieszanie, która zna tylko jedno zakończenie. I nie jest ono dobre. Biografia nie potrzebuje już biologicznego ciała swojego bohatera, choć jego życie (*bíos*), nad którym rozsnuwa retrospektywnie siatkę słów, nie potrafiło się bez niego obyć. Dopiero biografia – i tylko ona, jeśli nie liczyć śmierci – jako opowieść o życiu uwalnia (nas) z więzów cielesności. Ten, kto patrząc na życie drugiego człowieka, mówi *gráphō*, przesuwając zdarzenia, rozległą nieraz serię przygód jego ciała w sferę wspólnych słów. Stając się dzięki tej deklaracji biografem, poszukuje on sensu tam, gdzie go (prawdopodobnie) nie ma i nigdy nie było: w chaosie nieokreślonych tęsknot i pragnień, w cielesnej zmysłowości, w niejasnych słowach, które wypowiadamy z nadzieją, że zostaną zrozumiane i że nas ocalą przed zapomnieniem.

W biografistyce, w sztuce pisania biografii, sens (lub choćby hipoteza sensu) nadaje przygodności bycia porządek. Jest próbą włączenia życiowych zdarzeń w jakiś zewnętrzny ład ustanawiany, uwierzytelniany i podtrzymywany przez innych. Bez nich – bez tych, którzy żyją i stanowią wspólnotę pamięci i języka – każdy, kto się urodził, nie miałby szansy wzniesienia się ponad własne cielesne istnienie. Ulotne zdarzenia i ślady, które po nich pozostają w pamięci i w dokumentach, byłyby nieme. Niejasny pozostałby ich szyfr.

Z trudnych do zrozumienia powodów humanistyka na długi czas biografię upodrzedniła. Strukturalizm i jego wyznawcy (aż do późnych, postmodernistycznych wnuków) przesuwali punkt ciężkości zainteresowań (więc także badań) z twórcy na wytwór, z autora na tekst. Zadekretowana przez Rolanda Barthes'a w 1968 roku „śmierć autora” przez dwie lub nawet trzy dekady była prawie powszechnym zawołaniem. Uprawianie biografistyki wydawało się zajęciem pośledniejszym niż rozmaite egzegezy tekstu i coraz bardziej wymyślne spekulacje teoretyczne i metodologiczne projekty, których – po tym, jak je

ogłaszano światu – na ogół nikt jednak nie podejmował. Lekceważeniu biografistyki jako formy uprawiania nauki towarzyszył – paradoksalnie – jej niebывały rozkwit i coraz większa popularność wśród szerokiego kręgu czytelników, którzy odnajdowali w jej wytworach zajmujące i pouczające dzieje życia wielkich ludzi. Ale też seryjnych celebrytów – niestety.

Zostawmy jednak na boku humanistów z ich wiecznymi rozterkami. Ocalmy biografię jako formę ujmowania i rozumienia życia – także własnego, jako „autobiografię każdego z nas” według słynnej formuły Gertrudy Stein. Zachowajmy biografię dla tych wszystkich, którzy mają potrzebę życia refleksyjnego, którzy chcą – jak to ujęła Maria Janion – „wiedzieć, co przeżyli”. To im (to n a m) b i o g r a f i a n a d a l j e s t p o t r z e b n a. Już nie tyle w formie dawnych „żywołów przykładowych” czy uczonych syntez łączących „życie i twórczość”, ile jako sposób odnajdywania (jakiegoś) sensu w mrocznym gąszczu przygód ciała.

Nie wiem, czy wszyscy zwolennicy ogłoszonego przed paru laty „zwrotu biograficznego” podzielają tę niewiarę, że są zatem naszymi (moimi) braćmi w wątpleniu w istnienie przedustawnego ładu życia. Mam nadzieję, że tak. Bo przecież nie sposób już chyba dzisiaj podtrzymywać nadziei, że sens ogólny czyjś istnienia można uchwycić w jednorazowym akcie *gráphō*. Biografistyka, jeśli nie chce być tylko poczytna, nie powinna pozostać taka jak dotąd. Przed biografiami poszukującymi mnogich sensów jednostkowych istnień staje dzisiaj obowiązek tworzenia nowych form dyskursu biograficznego.

A zatem jest konieczne przyznanie pełnych praw biografiom fragmentarycznym, cząstkowym, skupionym wokół jednego tematu czy fantazmatu, pozostającym w fundamentalnej opozycji do ujęć całościowych, rozpiętych pomiędzy narodzinami i śmiercią. A także biografiom jednej roli odgrywanej przez lata lub jednego zdarzenia, wokół którego skupiają się wszystkie pozostałe. A obok nich biografiom akustycznym (dźwiękowym) albo – to przecież możliwe – biografiom, w których uprzywilejowanym sposobem osadzania się w istnieniu byłoby oko i patrzenie, jak choćby w wypadku życia Cézanne’a. A obok nich biografiom równoległym, paralelnym, biografiom splątanim czy może związanym wielokrotnie, które afirmują tę oczywistą prawdę, że każde „ja” ustanawia się wobec jakiegoś „ty” i jakiegoś „on”.

Nie muszę dodawać, że fundamentem tych wszystkich ryzykownych dyskursów biograficznych powinny być gruntowne poszukiwania źródłowe. A także ich wyraz: kalendarium, które ustawiając na linii czasu (po Schulzowsku zdestruowanego), wchłania i porządkuje całą istniejącą dokumentację jednostkowego życia.

Najważniejsze w tej nowej biografistyce wydaje się jednak jak najszybsze w y j ś c i e poza granice jednostkowego życia. Pełne napięcia oczekiwanie – czy w szczelinie między dwiema egzystencjami, między byciem (jednego) a byciem (drugiego) pojawi się elektryczny łuk, który je połączy, ustanawiając ciągłość istnienia. Między tym, który umarł, a nowo narodzonym.

I dlatego – Schulz, jego biografia.